

Adam Ziemanin

LUDZIE DROGI, WĘDROWCY BOŻY, PIELGRZYMI...

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze miałem wielki podziw, wręcz nabożeństwo, do ludzi drogi. Już w dzieciństwie byłem pełen estymy dla tych wędrowców bożych, którzy przemierzali naszą miejscowość od zachodu do wschodu, czy z północy na południe. Przy czym na południe rzadko kto się zapuszczał, bo tam był już tylko Leluchów z kilkoma domostwami połemkowskimi, Dubne, potok Smereczek, Poprad i granica państwa z Czechosłowacją, obstawiona dość szczelnie, aczkolwiek niewidocznie, przez Wojsko Ochrony Pogranicza, czyli tzw. WOP. Było to tym bardziej dziwne, że z Czechami i Słowakami byliśmy w jednym obozie, zwanym socjalistycznym. A mimo wszystko granicy trzeba było pilnować jak oka w głowie – z takiego bowiem założenia wychodziła władza niezwykle ludowa. Wiadomo, lichy nie śpi, więc lepiej dmuchać na zimne. A Zimne też było – i jest – po drodze do Leluchowa. Tak bowiem nazywa się górski potok płynący jednym z tamtejszych wąwozów¹. Nazwę swą wziął z pewnością od zimnej wody w nim płynącej. W wąwozie tym w młodości zbierałem dorodne, leśne maliny.

Już wtedy domyślałem się, że ci wędrowcy chyba nigdzie dłużej nie umieli zagrać miejsca, bo wciąż ich gdzieś nosiło.

W moim miasteczku – zwłaszcza po wojnie – ludkowie tacy, z iskrą wędrowki, pojawiali się nie wiadomo skąd, a szli też nie wiadomo dokąd. Nie było też w ich odwiedzaniu Muszyny żadnej regularności, żadnej logiczności, czy planowania. Ot! Przybywali kiedy chcieli i znikali wtedy, gdy uznali to za stosowne. I mimo, że była to strefa nadgraniczna, oni niczym się nie przejmowali.

Liczną grupę stanowili dziady proszalne, często nawiedzeni religijnie, i żebracy różnej maści. Ci aktorzy „ze spalonego teatru” grali najczęściej na uczuciach wydumanych, aczkolwiek przekonujących i trafiających do serca. Wczuwali się w role bezręcznych, beznogich nieszczęśników, przychodząc o kulach po prośbie. Często noga była sprytnie podwinięta pod płaszczem, albo ręka ukryta pod bluzą wojskową, a zdrowe oko zamaskowane opaską ślepeca. Śpiewali, a właściwie zawodzili płacząco pieśni religijne, albo patriotyczne. Najwięcej przybywało ich w okolicy odpustów. U nas miało to miejsce na św. Józefa – 19 marca, a w Złockiem – na Matkę Boską Zielną, czyli 15 sierpnia. Ale trzeba przyznać, że nie wszyscy byli naciągaczami, bo trafiali się też prawdziwi inwali-

¹ Taką nazwę nosi również szczyt (wys. 918 m n.p.m.) w paśmie biegnącym pomiędzy Leluchowem a Muszyną (przyj. red.).

dzi wojenni. Jednak trudno było wyczuć, który żebrak był którym. Dlatego – na wszelki wypadek – wszystkim dawano drobne datki.

Znacznie wyższą kastę wśród ludzi gościńca stanowili wędrowni rzemieślnicy różnej maści czy ludzie zawodów niecodziennych, ocierających się wręcz o działalność artystyczną. Do nich zaliczyłbym muzykantów, głównie romskiej narodowości, malarzy niedzielnych, handlarzy świętymi obrazami, kuglarzy, połykaczy ognia, czy wędrownych fotografów.

– Garnki lutuję! Garnki lutuję! Na poczekaniu – wołał jeden.

– Szmaty skupuję – krzyczał drugi.

– Oto jedyny preparat, który zdał egzamin – zachwalał wędrowny handlarz płyn na odciski, dratwę i tubki z pastą do usuwania plam.

– Ostrzę noże i nożyczki, a gdy trzeba to i brzytwy – zachwalał swoje usługi kolejny wędrowny rzemieślnik.

Tego jegomościa bałem się najbardziej, bo szram na ogorzalej gębie miał więcej niż zmarszczek. Nie bez przyczyny, przecież robił w „ostrym” zawodzie. Gdy ostrzył noże, wkoło leciały snopy iskier, więc uważałem, że ma spółkę z diabłem i że jest z piekła rodem.

Najbardziej konkretnym, ale i najbardziej ludzkim w tym egzotycznym, wręcz szemranym towarzystwie – wedle mego odczucia – był Waluś druciarz, czyli taki wędrowiec boży, który żadnej dziurze w garnku nie przepuścił. A dziur w garnkach w latach powojennych było prawie tak dużo, jak w durszlaku. Tak więc bez przerwy, kiedy tylko nas odwiedził, miał pełne ręce roboty. Walenty przez cały dzień chodził po Muszynie, od domu do domu, latając garnki, rondle, sagany, a nawet – jak było trzeba – patelnie.

Pod wieczór zwykle odwiedzał nasz dom. Zawsze coś trafiło mu się do roboty, ale i do zjedzenia, bo mama czymś go poczęstowała. On jakby z wdzięczności, obok swych usług druciarskich, dzielił się opowieściami ze swego świata przewędrowanego latami. Chciało się go słuchać, bo był przy tym gawędziarzem szczególnie uzdolnionym. W młodości służył w wojsku austriackim. Sporo czasu przyszło mu służyć pod cesarzem Franciszkiem Józefem i walczyć na froncie, aż do czasu, kiedy został ranny. O jego walkach i przygodach wojennych słuchałem z otwartą gębą. O Italiańcach, Madziarach i o Ruskich.

Takie były moje pierwsze spotkania z literaturą mówioną, choć wcześniej był dziadek Buczyński ze swymi bajkami. Tak rodziła się moja wyobraźnia, którą rozpalali we mnie wędrowcy boży, a szczególnie Walenty.

A potem druciarz, gdy już było zbyt późno, bezceremonialnie pytał mojego ojca, czy może przespać się na dylach. Z początku nie wiedziałem o co chodzi. Dopiero z czasem zrozumiałem, że jemu chodzi o podłogę.

Ojciec zwykle godził się na te dyle, więc Waluś kładł się i zasypiał w mgnieniu oka. Rano nie było po nim śladu. Już o świcie poszedł do sąsiedniej miejscowości naprawiać kolejne garnki.

Droga była zawsze

Ani się obejrzałem, a sam stałem się wędrowcem bożym. Takim „Jankiem Wędrowniczkiem”. Podziw dla ludzi gościńca sprawił, że stałem się jednym z nich. A ogień wędrowania rozpalił we mnie Wojtek Bellon – legendarny twórca „Wolnej Grupy Bukowina”. A tak to się zaczęło:

Kiedyś jechałem na spotkanie autorskie z pisarzem Julianem Kawalcem, który jest nie tylko ciekawym pisarzem, ale i wspaniałym gawędziarzem. A ponieważ droga przed nami była długa – z Krakowa do Wałbrzycha i Nowej Rudy – więc zabijaliśmy czas różnymi opowieściami. Julian – bystry obserwator życia – mieszkający wtedy więcej w Rabce, niż w Krakowie, właśnie w Rabce bywał świadkiem tragicomicznych wydarzeń związanych z tą miejscowością i jej mieszkańcami. Wiadomo – w mniejszej miejscowości nic nie umknie, nic nie ujdzie uwagi.

Bohaterem tych scen był przeważnie Wawrzek. Niczym szczególnym nie wyróżniał się w miasteczku. Prowadził wraz z żoną i dziećmi odziedziczone po ojcu gospodarstwo. Był pracowity, uczciwy, uczynny, spokojny, a i z sąsiadami żył w zgodzie.

Jedyną jego słabością była nieodparta tęsknota za wędrowaniem. Może w przeszłym życiu szybował po niebie jak ptak? Co jakiś czas dojrzywał do wędrowki, i wtedy nie było na niego siły. Gdy dopadał go ten zew drogi, rzucał wszystko i szedł na granicę miasteczka – zawsze w tym samym kierunku – gdzie wśród lip stała figurka Matki Boskiej Zielnej. Długo patrzył za siebie i, żeby dodać sobie animuszu do swej szalonej wyprawy w nieznaną, a także jakby chcąc przekonać innych do swej decyzji – wykrzykiwał w przestrzeń kosmiczną magiczne dwa słowa:

– Kurwa! Idę...

To jego *idę* niosło się jeszcze długo po okolicy i wracało echem do Wawrzyńca, natomiast pierwsza część jego zawołania ginęła gdzieś w polu i gasła. Tyle boleści było w tym okrzyku, tyle beznadziei i determinacji, że wszystkich za serce ścisnęło, lecz w żaden sposób nie można było mu pomóc. Nikt bowiem nie próbował go zatrzymać. Jeden, jedyny raz stanęła Wawrzekowi na przeszkodzie żona, lecz źle się to dla niej skończyło, a on i tak poszedł przed siebie, gdzie go oczy poniosły. Po pobiciu żony, na szczęście niegroźnym, nikt więcej nie zamierzał wchodzić mu w drogę. Wiadomo było, że jak Wawrzyniec musi – to musi.

Po dwóch tygodniach wędrowiec boży wracał do domu. Zarośnięty, skruszony, wychudzony i brudny. Przepraszał żonę, kajał się i bił w piersi. Dwa, trzy dni odpoczywał, regenerował siły, a potem brał się do pracy na roli. Harował jak wół od świtu do nocy, jakby chciał nadrobić stracony czas i zagłuszyć ten szaleńczy zew wędrowania.

Jednak po czterech, pięciu miesiącach znowu go nachodziło. Podczas prac polowych często kierował wzrok w stronę kapliczki z Matką Boską Zielną. To był widomy znak, że coś się w nim gotuje. Wreszcie nadchodził ten dzień, kiedy stawał na granicy miasteczka i znowu wykrzykiwał swoje charakterystyczne zaklęcie:

– Kurwa! Idę...

I zniknął na kolejne dwa tygodnie. Nie bardzo było wiadomo, co działo się z Wawrzyńcem w czasie jego dziwnej wędrówki. Co robił? Co jadł? Kogo odwiedzał? Nigdy nikomu o tym nie mówił.

Nie wiem dlaczego, gdy usłyszałem tę opowieść Juliana Kawalca, pomyślałem o Wojtku Bellonie. Czasem budzą się w nas takie skojarzenia podświadome, których nie umiemy sobie wytłumaczyć. Może zbiegło się to z tym, że Wojtek – jak mało kto z moich przyjaciół – też stworzony był do drogi i demonstrował to na każdym kroku. Stworzony był z pełną świadomością i konsekwencją do wędrowania, które potrzebne było mu do życia, jak rybom woda, a ptakom powietrze.



Wojciech Bellon

Być może – w każdym razie takie sprawiał wrażenie – nawet urodził się w drodze. Ona wyznaczała mu marszrutę przez życie. Może dlatego często był niecierpliwy i nawet dom, który wraz z Joasią stworzył w Krakowie, nie umiał go na dłużej zatrzymać. Nigdzie na dłużej nie umiał zagrać miejsca. Gdzieś go rwało, gdzieś go niesło.

Może na jednym z dyżurów goprowskich w Bieszczadach, wpatrując się w niebo nad schroniskiem, wyczytał z gwiazd, że trzeba się spieszyć? Może na szlaku swych wędrówek spotkał Cygankę, która mu to powiedziała, kiedy mu wróżyła, żeby wyciągnąć od niego parę groszy? Chyba nawet coś wspominał o takim zdarzeniu, ale bardziej na zasadzie żartu, niż poważnego przeżycia.

– Bez zbytej wiary dałem sobie raz powróżyć – opowiadał.

Wrócił od niej jakiś smutny. Do końca jednak nie zdradził nam co mu przepowiedziała.

Oto droga przede mną karta
Niespełniona opisem zdarzeń
Oto kroki – tykanie zegara
Aż po czasu najdalszy kraniec

Tak śpiewał na koncertach, i cisza zalegała, gdziekolwiek tylko pojawiła się ta pieśń. Było w niej – i nie tylko w niej – coś ze spowiedzi jawnej bożego wędrowca. Było w niej – i nie tylko w niej – coś, co bolało przez skórę...

Kiedyś jechaliśmy na koncerty do Lublina. To były jeszcze te czasy, gdy często gęsto korzystaliśmy z tzw. okazji, czyli przygodnego auta, którego kierowca – jeśli miał dobry humor i ochotę – podrzucał nas – po kawałku – do celu naszej podróży. Czasem to była „nyska”, czasem „żuk” z otwartą plandeką, a czasem – ale to raczej od wielkiego święta – jakiś samochód osobowy. Najczęściej jednak trafiały się nam ciężarówki. Ruskie maszyny, które paliły hektolitry paliwa.

Właśnie taką rozklekotaną ciężarówką trafiła nam się okazja z Kielc, a może z Radomia do Lublina. Kierowca wyciskał z niej siódme poty.

– Jest coś wspaniałego w tej uciekającej przed nami szosie. Trudno to nawet nazwać! Ale mnie to wciąga bez reszty. Może to jest właśnie poezja? Tylko jak ją uchwycić na gorącym uczynku? Jak ją zapisać, żeby oddawała to, co jest we mnie – Wojtek rozmarzył się jak nigdy dotąd.

Zrobiło się jakoś nieswojo, bo Wojtek mało kiedy mówił tak śmiertelnie poważnie.

– Ty jak coś rąbniesz, to słabo się robi – powiedział ktoś z nas, żeby rozładować atmosferę – przecież droga, to jest droga i tak musi być.

– A bo coś mnie tak jakoś wzięło – zamknął sprawę Wojtek.

Jazda czarną lokomotywą

Na krakowskich Plantach siedziało kilku starszków. Dwóch grało w karty, chyba w partyjkę, pozostali byli w roli kibiców. Jakaś pogoda ducha biła z ich starości.

– Cieszą się jak dzieci z każdego dnia, a jeśli jeszcze dzień słoneczny, taki jak dzisiejszy, to radość tym większa – powiedziałem do Wojtka, gdy mijaliśmy tę grupę starców.

– Każdy wiek ma swoje uroki, ale ja już teraz czasem czuję się jak starzec. Tu mnie boli, tam mnie strzyka. I co z tego wynika? Chyba tylko to, że trzeba robić dobrą minę do złej gry – zwierzył się Wojtek Bellon.

– Człowiek stary, to trochę jak dziecko. Nie chciałbyś przeżyć raz jeszcze dzieciństwa? – zapytałem go złośliwie.

– A wiesz, że nie. To starcze zdziecinnienie wcale mnie nie kusi – skwitował naszą rozmowę.

Szliśmy w stronę krakowskiego dworca. Przed nami był kolejny wypad z „Gitarą i piórem”. Tym razem do Nowego Sącza. Jechaliśmy w mocno osłabionym składzie, gdyż nie udało nam się złapać żadnego wolnego gitarzysty. Rysiek Styła wyjechał na koncerty, Mikołaj Korzistka miał egzaminy na swej anglistyce, Jaśkowi Hnatowiczowi też coś stanęło na przeszkodzie.

Przy dworcu zobaczyliśmy grupę starych, pijanych prostytutek. Może nawet nie były tak stare, jak zniszczone alkoholem i uprawianiem najstarszego zawodu świata.

– Widzisz. Starość może być i taka – skomentował Wojtek.

– Ano, może – zgodziłem się z nim.

Koncert w Nowym Sączu, bez drugiego gitarzysty, był męczący, szczególnie dla Wojtka, lecz publiczność tego nie zauważyła. Nie miała prawa, bo Wojtek był w dobrej formie i grał jak z nut.

– I znowu sukces – jak zwykł był mawiać po każdym koncercie.

Było w tym powiedzeniu trochę żartu, trochę przekory, trochę dodania sobie animuszu. Był to bowiem moment, kiedy puszczało napięcie.

Gościnność gospodarzy imprezy była wielka, tak że nie dało się zaraz wyjechać. Zresztą wcale nie paliło nam się do Krakowa. Po sympatycznych rozmowach i miłych toastach przyszła jednak pora na powrót do domu. Okazało się, że już nie było czym wracać. Ostatni autobus do Krakowa odjechał jakiś czas temu.

Wybraliśmy się więc na dworzec kolejowy. I tu też nie czekał na nas żaden pociąg. Ale nagle przyszło olśnienie i otrzeźwienie. Podeszedłem do parowozu, który dyszał pod parą, gotowy chyba do odjazdu.

– Czy jakiś towarowy nie jedzie przypadkiem do Muszyny? – zapytałem maszynistę.

– Towarowy nie! Tylko my luzem, czyli samym parowozem tam jedziemy – oznajmił młody maszynista.

– A nie dałoby się z panami zabrać właśnie do Muszyny? – zwróciłem się jednocześnie do maszynisty i jego pomocnika, zwanego palaczem.

Nie było łatwo przekonać obu kolejarzy. A to zasłaniali się przepisami, a to bezpieczeństwem jazdy, a to ciasnotą wreszcie. Jednak moja konkretna argumentacja, poparta mocno i sugestywnie przez Wojtka odpowiednim banknotem, zwyciężyła. Udało się. Wojtek był szczęśliwy, że pojedziemy do mojego rodzinnego miasteczka, i to nie było czym, bo prawdziwą parową lokomotywą, czyli ciuchcią.

Sama podróż była zwariowana, ale cudowna, choć męcząca. Palacz walił węgiel w gardło parowozu jak do smoczej paszczy. Kocioł aż drżał od energii i temperatury. Maszynista nawet pozwolił nam użyć sygnału, gdy wjeżdżaliśmy do miasteczka. Świtało. Prowadzący ciuchcią zatrzymał ją dla nas pod semaforem, żebyśmy mieli bliżej do domu.

Gdy o świcie zapukaliśmy w okno na Ogrodowej, mama wyrwana ze snu przestraszyła się nas. Wyglądaliśmy jak zjawy. Brudni byliśmy od sadzy i węgla jak kominiarze po dniówce.

Biedna mama załamywała ręce, gdy dowiedziała się w jaki to sposób dotarliśmy do Muszyny. Ale nie straciła głowy – jak to z mamami bywa. Tylko ucieszyła się, że syn ją

odwiedził – choć przyznać trzeba, że w dziwnych okolicznościach. Na stole pojawiła się gorąca herbata i coś do jedzenia. Och! Te polskie matki. Cóż byśmy bez nich zrobili?

Zakochał się od pierwszego wejrzenia...

Wśród ludzi gościńca, pielgrzymów i tułaczy, którzy zajęli poczesne i ważne miejsce w moim życiu, jest jeszcze jeden wędrowiec boży, czyli Krzysztof Myszkowski – twórca i lider zespołu Stare Dobre Małżeństwo. W swoich wędrowkach z plecakiem i gitarą odwiedził wiele zakątków kraju. Jego dom był wszędzie. Ten rodzinny – w Złocieńcu, ale nie tylko tam się odnajdywał. Otwarty był na wędrowanie, na drogę, na poznawanie nowych ludzi.

Kiedyś trafił na poddasze przy Krupniczej w Krakowie, gdzie mieszkałem z Marią, a wcześniej na moje wiersze. I tak to się potoczyło. Zaczęły się nasze wędrowki po kraju i po świecie. Od Bieszczad po Chicago, od Łowicza po Toronto, od Przemyśla po Lwów, Kołomyję i Czerniowce.

W swych wędrowkach Krzysztof szybko odkrył na swej drodze „kraj łagodności” – tak nasze miasteczko poetycko ochrzcił kiedyś Jerzy Harasymowicz. I tak zatytułował nawet jeden ze swych tomów – *Powrót do kraju łagodności*.

Pielgrzymowanie Krzysztofa Myszkowskiego do Muszyny, do Leluchowa, a także innych zakątków tego regionu, też obrosło już legendą i różnymi, często zabawnymi opowieściami.

W Muszynie – śmiem twierdzić – zakochał się chyba od pierwszego wejrzenia. Myślę, zresztą, że z wzajemnością. Nawet nie pamiętam, jak to się zaczęło, bo ta pierwsza wyprawa do miasteczka nad Popradem jakoś mi umknęła, ale wiem jedno, że jego przyjazdy nasiliły się szczególnie, gdy pracowaliśmy nad płytą „Kino objazdowe”. I trzeba przyznać, że to on nawet częściej był motorem tych wyjazdów. I to on mnie mobilizował do wypraw muszyńskich. Łaknął ich i pragnął jak ryba wody.

– Słuchaj Adam! Może skoczymy na parę dni do Muszyny – proponował w przerwie między koncertami.

– Bardzo się cieszę, że chcesz tam jechać! Chętnie się z tobą wybiorę! Służę za przewodnika – deklarowałem swą gotowość do wyjazdu.

I bez namysłu ruszaliśmy w drogę. Nie miała znaczenia pora roku, choć częściej nam



Krzysztof Myszkowski

się to trafiało wiosną, a najczęściej jesienią. Nie ma się co dziwić, że zadedykowałem mu wiersz pt. „Muszyna – blues”², który znalazł się na jego pierwszej solowej płycie, pod zmienionym tytułem „Dwa kroki do jesieni”.

MUSZYNA – BLUES

Krzyszkowi Myszowskiemu

Dzień już krótszy o krok burmistrza
Głupi Gienek z lipą znowu gada
Nad rzeką stoi miejscowy Heraklit
Ziemia nosi jeszcze sąsiada

Panna z dzieckiem szuka ojca w lesie
Tu w miasteczku wszyscy się znamy
Sąsiad dostał list aż z Ameryki
A piekarz jest znowu pijany

Czasem koń Wielki Wóz przeciągnie po niebie
Czasem pies poskarży się do księżycy
Czasem góra pochyli się nad tobą
Czasem wiatr na trawie zagra bluesa

Przez miasteczko nie da się na skrót
Przez miasteczko trzeba przejść Rynkiem
Tu cię zaraz wezmą na języki
Bo tu każdy jest coś komuś winien

Dzień krótszy o dwa kroki burmistrza
I jesień z gór schodzi po leszczynach
Powoli zapada w sen zimowy
Razem ze swym bluesem – Muszyna

Krzysztof z wielkim zainteresowaniem słuchał muszyńskich opowieści, pochylał się nad losem *bejdaka* z Ogrodowej, poznawał zakątki Złockiego, wędrował przez Malnik do Dubnego i do Leluchowa, gdzie lubił pogadać z leluchowską cerkiewką i jej siostrą z Dubnego. Trudno wyobrazić sobie te nasze wspólne wyprawy bez tego, żeby nie zajrzeć na słowacką stronę i sprawdzić, co u sąsiadów piszczy. Zajrzeć do pani Helenki i tam napić się chłodnego piwa, zagryzając warkoczykami z wędzonego sera.

Pamiętam, jak przechodziliśmy przez granicę na Smereczku, wracając od pani Helenki. Z głów nam dymiło, jak Malnik i Garby – razem wzięte – dymią po letniej burzy. Ale tak ku dobru! Na słoneczną pogodę! Ja – dla zasady – nieudolnie przemycałem butelkę rumu, Krzysiek – znacznie zgrabniej, za paskiem spodni – flaszkę becherovki. Czyniliśmy to bardziej dla fantazji i przekory, niż z chęci zysku. Na samej granicy poczułem się lekko zmęczony, więc Krzysztof, pełen troski o moją kondycję, załatwił mi krzesło od służb wojskowo-celnych. Jego gadanie było na tyle sugestywne, że dali mu bez szemrania, można powiedzieć, że wręcz z sympatią nas potraktowali. A gdy odpocząłem, udaliśmy

² Wiersz ten publikowaliśmy w „Almanachu Muszyny” w roku 1993 (przyp. red.).

się pod cerkiewkę w Leluchowie. Oczywiście z przemyconym alkoholem. I świat nam się jawił piękny i taki miodowy, jak rum i becherovka razem wzięte.

Pamiętam też koncerty Starego Dobrego Małżeństwa w Muszynie. Odbywały się – jak wszystkie inne w naszym miasteczku – w Domu Zdrojowym. Już za pierwszym razem było istne szaleństwo, radość, wręcz euforia. Ludzie przyjechali z sąsiednich miejscowości – z Krynicy, Piwnicznej, a nawet z Nowego Sącza.

Po koncercie mieliśmy zapewniony nocleg w ówczesnym „Żeraniu”. To tam równoległe odbywało się chyba kolejne lecie „Zefirka”. Świątowano w obsadzie międzynarodowej. Stare Dobre Małżeństwo zaprzyjaźniło się z modelarzami nie tylko z „Zefirka”, ale i ze Słowakami, a przebojem wieczoru był kawał opowiadany przez jednego ze Słowaków. Może niezbyt śmieszny, ale w językowej wersji słowackiej rozbawił nas do łez.

Drugi koncert, w parę lat później – też w Domu Zdrojowym – zorganizowała w dużej mierze muzyńska młodzież licealna. To było święto w miasteczku nad Popradem. To, że odwiedziliśmy ponownie Muszynę, było wyraźną zasługą Krzysztofa Myszkowskiego, który obiecał młodym ludziom, że przyjedzie ponownie do Muszyny, i słowa dotrzymał.

Dużo by opowiadać o wyprawach muzyńskich Krzyśka. Żeby spointować tę opowieść, przytoczę fragment wiersza „Smereczek”, który też o tym traktuje³:

Przez Smereczek – potok już nie graniczny
Ujęty pod boki wielkim mostem przyjaźni
A który do Popradu wpada jak śliwka w kompot
Wracamy do Leluchowa od słowackiej strony
(...)

Jak dobrze wracać przez Smereczek
Do Leluchowa a potem do Muszyny
Niby taki sam jesteś a jednak ktoś inny



Adam Ziemianin z Krzysztofem Myszkowskim

³ Całość wiersza *Smereczek* publikujemy na następnej stronie tegorocznego „Almanachu” (przyp. red.).